

IV (część czwarta) — Rodion

Weiss stracił tego dnia dwie rzeczy. Dwanaście godzin oraz resztki dobrego humoru. Całe zajście rozmyślało się w jego pamięci, tworząc barwne, lecz chaotyczne plamy. Nim na dobre zorientował się w sytuacji, ktoś wciągnął go za osłonę. Później było wielogodzinne śledztwo, przesłuchania, szukanie winnego. Cała nagonka nasiliła się, gdy okazało się, że Szwed umarł mimo założonej kamizelki kuloodpornej i szybkiej interwencji specjalistów.

Weiss rozmyślał właśnie nad złożonością i nieobliczalnością życia. Nie miał żadnych odczuć. Kontemplował płatki kukurydziane powoli tonące pod ciężarem pochłaniającego je mleka. Był obojętny. Nigdy nie obawiał się śmierci. Nie lubił też dyskutować o życiu. Był uznawał za pojęcie tak abstrakcyjne i tak ograniczone naszym miernym punktem widzenia, że nie uznawał za godne rozmawiać o jego istocie. Wszechświat naprawia swoje błędy... Cóż, gdyby snajper chybił, Szwed zginałby dwa dni później w wypadku samochodowym. Nie, Wszechświat nie naprawia, Wszechświat NIE DOPUSZCZA do popełnienia błędów.

Odsunął miskę, rozchlapując nieco mleka na stół. Stracił apetyt. Przeszkadzała mu myśl, że niespełna pół dnia temu, ktoś ukryty w płataninie kominów i anten ucieszył się precyzyjnym trafieniem. Zasłonił lunetę, rozmontował karabin, ukrył go i powolnym krokiem wypłynął na ulice, nie wzbudzając żadnych podejrzeń. Irytowało go, że myśląc właśnie o nim (o niej?), czuje pewną lukę w pamięci, która wypełnia się powoli nic nie znaczącym zielonym morzem.

Zaczął z przyzwyczajenia wyłamywać palce. Zapomniał już prawie, że najgorszą wadą ludzkości jest nadmierne przywiązywanie się do gestów, czynności, ludzi... Znów poczuł się zły na samego siebie. Nie potrafił zachować spokoju i trzeźwości umysłu. Nie umiał wyciszyć myśli i skupić się na jakimś konkretnym problemie. Po prostu zajmował go ten materialny śmietnik, na którym przyszło mu żyć. Nie potrafił już być ponad wszystkim, czuł że staje się swoim własnym zaprzeczeniem.

Przeszedł nerwowym krokiem w kierunku pokoju. Prawie podskoczył, kiedy usłyszał dzwonek telefonu oraz poczuł znajome wibrowanie w kieszeni. Odebrał połączenie, nie zwracając uwagi na to kto dzwoni.

- Nie sądzisz, że to ciekawy zbieg okoliczności...
- Dawid, może byśmy zaczęli od przywitania... - Weiss przerwał, wyraźnie zdenerwowany. Momentalnie opanował się jednak i rzucił spokojnym, jakby znudzonym głosem. - Co za zbieg okoliczności?
- Morderstwa!
- Konkrety, Dawid, konkrety. Nie mam ochoty na gierki.
- Szwed i Krysznow. To nie był przypadek, mówię ci.
- Taa, jak nie przypadek to pewnie Wyznawcy Przedwiecznego Grzyba? A?
- Weź nie pieprz od rzeczy. Wiem co mówię. Zainteresowałem się obydwoma sprawami, poruszyłem trybiki i dostałem konkretne odpowiedzi. Szokujące odpowiedzi.
- Te trybiki co pożyczają samochody i nie oddają, a później porzucają je w lesie doszczętnie ogołocone?
- Te drugie, Kuba, słuchaj. Jest sprawa i to poważna. Możliwe, że to największy przekręt w powojennej Rzeczpospolitej. Ktoś stał za tymi morderstwami. Dodatkowo utajniono wiele innych śledztw. Ofiar było więcej, ale mało kto z oficjeli ma odwagę o tym mówić. Znalazłem trop, jestem blisko epicentrum. Przyłącz się, możemy zdobyć sławę.
- Pieprz się ty i ta twoja sława. Żartów ci się zachciało...
- Zaczekaj! - Dawid wrzasnął bojąc się, że usłyszy przerywany sygnał zwiastujący koniec rozmowy. -

jesteśmy winni oddać ojczyźnie tę przysługę, wyplenić...

- Żeś przywalił z grubego kalibru. Zawsze mówiłem, że twoje argumenty są jeszcze głupsze niż ty. Wiesz, stary, nie wiem o co ci chodzi, ale właśnie w tej chwili jest moment w którym nie mam najlepszego humoru i jedyne czego pragnę to spokój. Do widze...

- Zuzanna Frigg, FRIGG! Mówi ci to coś?

-...nia...a? - Weiss zastanowił się chwilę. Przez ułamek sekundy nie wiedział co się stało, czemu nie odłożył słuchawki. Później przyszła powódź. Zalała go gorąca fala wybuchowej mieszanki wspomnień. To jedno nazwisko rozpoczęło lawinę. Jakimś niewyjaśnionym sposobem wchłaniał wszystkie emocje z otoczenia jak gąbka. Czuł pełną piersią tętniący puls świata. Pamiętał zdarzenia, których nigdy nie widział. Patrzył oczami miliardów ludzi, słyszał miliardami uszu. Był jednością z wszechświatem. Później przyszły sny, rozkładające swe piękne płatki, aby ukazać gnijące wnętrze. Przyjmował je z pokorą. Wreszcie wizja ucichła. Nie minęło nawet pięć sekund.

- Kuba, ej, Kuba! Nic ci nie jest?!

- O której i gdzie? - Wychrypiał do słuchawki z trudem łapiąc oddech. Przełknął ślinę z grymasem bólu na twarzy.

- Za trzy kwadranse, dwie ulice na północ od pierwszego Przekaznika. - Dawid nie ukrywał zdziwienia. - Jasne?

- Jasne, jasne... - Rzucił na pożegnanie.

Jakub nacisnął przycisk, zakończył połączenie. Zatoczył się i oparł o ścianę. Jeszcze nigdy nie doświadczył tak silnego impulsu. Był przerażony i zafascynowany. Mogło to oznaczać zupełnie nową erę, czas prawdziwego powołania i słusznej drogi. Po chwili zerwał się na równe nogi. Musiał się spieszyć, jeżeli chciał zdążyć na czas. Nieco nieporadnie założył buty i ostrożnie zamknął wszystkie zamki w drzwiach. Dalej kręciło mu się w głowie, zszedł więc po schodach trzymając się poręczy. Noc była ciepła i bezchmurna. Księżyc świecił okazale, nurzając ulice w swym przepięknym blasku. Świat był czarno biały. Weiss ruszył pewnie w ustalonym kierunku. Musiał się spieszyć, miał tylko czterdzieści trzy minuty.

Dalszy spacer minął bardzo szybko. Jakub nie rejestrował mijanych budynków, szedł jakby w sennym zaślepieniu, prowadzony przedwiecznym zewem ciekawości. Spotkali się o czasie, w wyznaczonym miejscu. Wokoło rosły nowe, świeże osiedla. Dalej, w dole ulicy znajdowały się magazyny i chłodnie. Właśnie w tamtym kierunku patrzył Dawid

- Przyszedłeś... - Rzucił w zamyśleniu, nie odwracając się nawet do swojego rozmówcy. Weiss nie skomentował.

Ruszyli, początkowo bez słowa, kierując się w stronę zabudowań przemysłowych. Atmosfera była gęsta, przesycona jakąś ponurą tajemniczością. Nawet księżyc schował się za chmurami, a jedynie blask nielicznych w tej okolicy latarni rozświetlał dość nieudolnie panujące ciemności. Powietrze było gorące i duszne. Dawid powiedział, że wszystko wyjaśni się na miejscu. Jakub szedł więc pokornie, czując na plecach dziwny, irracjonalny dreszcz.

Zaczął się niepozornie. Najpierw, na horyzoncie jeden z magazynów zamienił się dziwnym sposobem w kulę ognia, która to rozprzestrzeniła się w umykającym oku momencie, wybuchając z ogromnym hukiem. Później jęzory płomieni zaczęły lizać okoliczne budynki, a luna, dobrze widoczna z tej odległości, służyła za drogowskaz. Zatrzymali się pod latarnią. Na twarzy Dawida widać było wyścig emocji. Zdziwienie,

zostało przegonione przez strach, a następnie gniew. Syreny wozów strażacki stawały się coraz głośniejsze. Ludzie z okolicznych domów wylegli na ulicę, jak to zwykle bywa w takich sytuacjach. Dawid zaklął parszywie.

Przebijali się przez grupki ludzi gapiących się na pożar z dziwnym, bezmyślnym wyrazem malującym się na ich obliczach. Niedługo doszli do bardziej przeludnionego miejsca, skręcili w boczną uliczkę. Weiss odwrócił się, aby jeszcze raz rzucić okiem na powoli poskramiany żywioł. Dawid mruknął coś o planie awaryjnym i to było ostatnią rzeczą, którą zarejestrował Weiss. Nagle poczuł silne uderzenie, a jego umysł spowiła ciemność. Nie zdążył się nawet zdziwić.

[...]Nieznany napastnik ogłuszył pracownika policji, a drugiego ranił śmiertelnie. Sprawca napadu rabunkowego nie został do tej pory zatrzymany. Jak podaje[...]

Weiss siedział w ambulansie. Lekarze badali go niemrawo, a on był obojętny na ich zabiegi. Nie groziło mu żadne poważne niebezpieczeństwo. Śmierć Dawida dotarła do jego świadomości, odbiła się od pustki emocjonalnej i nie wzbudziła w nim żadnych odruchów. Wszyscy dookoła przypisywali to szokowi powypadkowemu, Weiss wiedział jednak, że po prostu nie umiał żałować. Nikogo.

Dziwiło go jedynie, że wszyscy usilnie wmawiali mu, że doświadczył najzwyklejszego w świecie napadu rabunkowego. Tak, o tak, bardzo prawdopodobne. Złodziej niczego nie ukradł, zabił tylko jedną osobę. Ponadto rzucił się na dwójkę wcale postawnych obywateli. Gdy tak szli nocą pełną ryku syren, nawet najgorszy morderca uciekłby od nich z krzykiem. Robili wrażenie. No i ten tajemniczy ton, szepty dookoła. To wszystko było sztuczne i plugawe, także Jakub wrócił czym prędzej do domu zmęczony i zdenerwowany nieudolnością otaczających go ludzi. Nawet kłamać nie potrafił dobrze. Wiedział, że musi wziąć sprawę we własne ręce. Przygotował się i po raz kolejny wyszedł na ulice.

Blok w którym mieszkał Dawid był bardzo łatwym celem. Jakub bez problemu przeskoczył niskie ogrodzenie, a później podszedł do balkonu w okolicy południowo wschodniego rogu budynku. Przybliżył się do drzwi, z kieszeni wyjął mały, podręczny zestaw wytrychów. Pamiątka z przeszłości. Uśmiechnął się do wspomnień. Pierwszy z drucików zadokował delikatnie w otworze przeznaczonym na klucz.

Zamek w drzwiach ustąpił bez oporów. Jakub po chwili był już w środku. Dobrze znał rozkład pomieszczeń, wszak bywał tu nie raz. Bez wahania, ale mimo to z należytą dozą ostrożności skierował swe kroki do kolejnych drzwi. W kuchni, łazience ani sypialni nie znalazł niczego interesującego. Salon również niczym się nie wyróżniał, mimo intensywnych poszukiwań wspomaganych światłem latarki. Jakub przechodził przez pokój gościnny, kierując się do kanciapy. To była ostatnia deska ratunku. Jeżeli w tym mieszkaniu miał znajdować się klucz do zagadkowej śmierci Dawida, to znajdował się on na pewno w jego najbardziej prywatnym i ulubionym pokoju. Podszedł do drzwi, otworzył je i po krótkiej chwili wkroczył do ostatniego pomieszczenia.

Rzucił okiem na zagracone biurko. Stare numery gazet, kilka książek, masa odręcznych notatek,

komputer, mapa, kolorowe mazaki, pinezki, tablica korkowa... Cholera, jak tyle rzeczy może mieścić się na tak małym meblu... Pomiędzy tymi szpargałami znajdowało się jednak coś ciekawego. Jakub podniósł podłużny dyktafon. Przez chwilę obracał go w palcach, po czym nacisnął jarzącą się na niebiesko strzałkę. Przewinięte do tyłu nagranie ruszyło. W zamontowanym głośniczku rozbrzmiał zachrypnięty głos Dawida.

"Dziennik -trzask- Dzień pierwszy" Jakub podkreślił nieznacznie głośność. Miał nadzieję, że reszta materiału będzie przynajmniej w takim stanie jak początek. Zapis był odczytywalny. *"Ścierwo psa w alei dziś rano, odcisk opony na rozerwanym brzuchu."* Jakub skrzywił się mimowolnie. Dziwnie zbudowane zdanie... Podszedł do okna. Nie zważając na to, że może zostać przez kogoś zauważony rozsunął delikatnie zasłony. Spojrzał na ciągnące się po horyzont bloki. Wschodzące słońce nadawało okolicy surrealistyczny wygląd. Niskie kamienice przechodziły w coraz wyższe budynki aby wreszcie sięgnąć nieba szczytami wieżowców. Wszystkie kolory stały się sztuczne, pastelowe i ciepłe. Tak jakby parodiowały same siebie, albo były dziełem szalonego artysty, który wypełnił czarne kontury miasta losowymi tubkami pełnymi farb.

"To miasto się mnie boi. Zobaczyłem jego prawdziwą twarz. Ulice to przedłużenie rynsztoków, a rynsztoki są pełne krwi i kiedy studzienki pokryją się wreszcie strupami, całe to robactwo się potopi." Jakub zaczynał rozumieć coraz więcej. Dawid cytował. Nie potrafił jednak przypomnieć sobie skąd znał te słowa. Coś wyraźnie antyspołecznego... Ech, Dawidzie, że też nawet swój pamiętnik prowadziłeś w sposób tak zagmatwany. Bardzo dobry żart. Prawie tak dobry jak ten o kłownie Pagliaccim, który zawsze opowiadałeś. Wszyscy się uśmiechali pobłażliwie. Nikt do końca nie wiedział czemu go tak uwielbiałeś. Nikt prócz komediantów tak dobrych jak ty.

"Nagromadzony brud seksu i morderstw spieni im się na wysokości pasa, a wszystkie te kurwy i politycy spojrzą w górę i zakrzykną: >>Ocal nas!<<. A ja spojrzę w dół i szepnę: >>nie<<" Jakub pacnął się w głowę z trudem tłumiąc śmiech. Zasłonił okna nie mogąc znieść wrażenia oderwania od rzeczywistości. To wszystko było tak chore, tak nierzeczywiste. Półmrok mieszkania wyglądał bardziej obiecująco i zachęcająco

- Nie - Powtórzył za głosem z nagrania. - Cholerny Roschach! - Mruknął z rozbawieniem. Podszedł powolnym krokiem do szafy. Po krótkiej ciszy docierającej z głośników zastopował nagranie. Wyglądało na to, że pierwszy wpis do pamiętnika Kovac..., tfu!, Dawida był dość krótki i enigmatyczny. Oczywiście dla kogoś, kto nie wiedział co chce w nim usłyszeć. Weiss miał nadzieję, że znalazł trop.

- Zaraz zobaczymy gdzie schowałeś swoją twarz... - szepnął otwierając mebel. Wyciągnął wszystkie ubrania, rzucając je chaotycznie za siebie. Uważnie ostukał wszystkie ścianki, sprawdził każdą szczelinę. Przyjrzał się dokładnie dnu. Bingo! Małe srebrne kółeczko wystawało niepewnie, kuszając swym nikłym blaskiem. Pociągnął za nie delikatnie, coś co miało być dnem szafy ustąpiło bez najmniejszego zgrzytu pokazując swoją drugą funkcję. Tak prostej i klasycznie umocowanej skrytki nie znalazłoby się w całym kraju. Na dnie leżała kartka papieru kształtem i ułożeniem przypominająca list. Weiss otworzył go pośpiesznie.

"ZA TOBĄ" Właśnie to wykrzyczały mu w twarz nieco krzywe, drukowane litery. Tylko tyle i aż tyle. No, przynajmniej wiadomo na czym stoimy. Znamy zasady gry i motyw przewodni balu maskowego. Weiss nie posłuchał ostrzeżenia. Przesunął z niemalym trudem szafę, zaczął ostukiwać podłogę. Wreszcie nacisnął delikatnie jeden z paneli. Podniósł się on z cichym sykiem miniaturowych, hydraulicznych

wysięgników. Pod nim, w masie usztywniającej podłogę wycięta była kolejna niewielka skrytka. "Jak w tanich filmach akcji..." Pomyślał bezwiednie. Leżała w niej mała karta pamięci, podpisana: "J". Weiss wetknął ją do dyktafonu. Nagranie ruszyło bezzwłocznie.

- Cóż, może zabrzmiało to nieco niedorzecznie, ale zmuszony jestem powtórzyć tę utartą formułkę. - Dawid mówił szybko, ale bez zbędnego zdenerwowania - Jeżeli słyszysz to nagranie, znaczy to, że... trafiłem na swojego Manhattana - Nagranie przerywa lodowaty śmiech. Pozbawiony radości, pełen pogardy i szaleństwa.

Weiss zaczął słuchać z coraz większą uwagą. Przeszedł powoli nieopodal sterty wyrzuconych ubrań. Zaczął je powrotem zawieszać. Następnie pozamykał wszystkie schowki i przesunął szafę na swoje miejsce. Na podłodze nie było żadnych rys, to dobrze. Jakub nie chciał zostawiać najmniejszych nawet śladów, przecież taka nocna wyprawa mogła się wiązać z dużymi nieprzyjemnościami.

- Zadarłem z siłą, o której nie miałem pojęcia. Rzuciłem się niejako z motyką na słońce, chociaż i tak nie odda to w najmniejszym stopniu rozmiaru kabały w którą się wplątałem. Testament mój, to jedno polecenie: dokończ tę sprawę. Zostałeś zaznajomiony, mam nadzieję... Wszystkie dotychczasowe informacje znajdziesz w kuchni, w trzeciej szufladzie prawej szafki pomiędzy widelcami. Schowałem tam, gdzie nikt by nie szukał. Uważaj na siebie i... do zobaczenia?

Weiss znał ten szyfr. Wiedział, że w podanym miejscu nie znajdzie niczego, a może Nawe natknie się na mało przyjemną niespodziankę w postaci uzbrojonych ładunków wybuchowych. Kluczem było "miejsce gdzie nikt by nie szukał". Komputer! Tak, najbardziej oczywiste miejsce. Podeszedł do biurka, pospiesznie włączył maszynę. Wklepał dobrze znane mu hasło. Na pulpicie znajdował się folder "TAJNE". Tak beznadziejnie ułożonej skrytki nikt by nie przeoczył. Istniała jednak szansa, że zostanie ona zignorowana jako coś bezwartościowego. Skopiował jego zawartość na praktycznie pustą kartę pamięci, po czym zatarł kolejne ślady swojej bytności.

Rozbrzmiała muzyka. Z początku cicha i niewyraźna przeszła przez amplitudę wysokiej głośności i dudniła przez chwilę miarowym łomotem w stylu techno. Urwała się momentalnie, po czym wybuchła salwa radosnych, przepitych śmiechów. Najwyraźniej sąsiedzi bawili się w najlepsze. Jakub opanował chwilowe zdenerwowanie, poczekał aż ucichną kroki i głośne rozmowy. Jeszcze raz sprawdził wszystkie zakamarki, lecz nie znalazł żadnych uchybień. Pomału zaczął zbierać się do wyjścia.

Nagle wszystko zostało przerwane precyzyjnym cięciem syren. Jak w starych, dobrych filmach zabrzmiało słynne: "Wiemy, że tam jesteś!" nie sygnowane jednak niczym imieniem czy nazwiskiem. Czyżby nie wiedzieli z kim mają do czynienia? Później dorzucono: "Wyjdź z podniesionymi rękami!". Zaczęło się krótkie odliczanie. Mikołaj wiedział, że to tylko pozory, że funkcjonariusze już szykują się do akcji. Na szczęście miał plan awaryjny. Słyszał o dość nieznanym przejściu, łączącym pokój z piwnicą, a następnie prowadzącym do kanałów. Pamiętał gdzie było ułożone, choć do tej pory uważał je za przejaw szaleństwa i dziwactwa Dawida. Teraz, gdy przeciskał się przez wąskie tunele ku wolności, błogosławił jego zaradność. W chwili gdy policjanci przeszukiwali mieszkanie, aby z rozdrażnieniem stwierdzić, że jest puste Weiss wracał do domu. Miał wiele spraw do załatwienia.

Następnego dnia Jakub dołożył wszelkich starań, aby zmarginalizować swój udział w całym zajściu. Szybko jednak zrozumiał, że policja nie miała pojęcia kto znajdował się w mieszkaniu. Potraktowali to jako kiepski żart, a osobę zgłaszającą rzekome włamanie ukarano za wprowadzanie w błąd

funkcjonariuszy. Weiss przejrzał wszystkie raporty, popytał jednak tak aby nie wzbudzać podejrzeń. Był niewinny. To go najbardziej cieszyło. Wieczory spędzał na żmudnym przeszukiwaniu materiałów odebranych od Dawida. Sam folder zawierał wiele śmieci: zdjęcia, stare piosenki, filmy. Jednak główna treść została dobrze ukryta. W każdym praktycznie pliku znajdował się jakiś fragment układanki. Łączenie poszczególnych elementów było męczące, jednak Jakub zatracił się zupełnie w tym zadaniu. Z każdym drobnym postępowaniem odkrywana historia rozbudowywała się do niebotycznych rozmiarów.

Weiss przekroczył cienką granicę obłąd. Cały wolny czas spędzał na poszukiwaniach. Zmienił się, nie tylko ze względu na "całą prawdę o świecie", poznaną w tak krótkim czasie. To jego psychika, świetna i precyzyjnie działająca w warunkach standardowych została zachwiana poprzez ciężki wysiłek w warunkach ekstremalnych. Odezwały się stare fobie, manie. Nie interesowało go już nic poza wykonaniem "testamentu". Potrafił całe noce włóczyć się po mieście, podsłuchiwać rozmowy napotkanych przechodniów, czy obserwować ruch uliczny w centrum miasta, szukając jedynej, słusznej odpowiedzi. Tak jak mistycy spędzają całe swoje życie na kontemplacji i ascezie, tak i Jakub, porzuciwszy ziemskie dobra przybrał formę miejskiego myśliciela. Jego podróże wewnątrz swego umysłu stawały się coraz dłuższe i owocniejsze.

Nie wiedział, że to co nazywał oświeceniem było jedynie wynikiem wieloletniego karmienia młodych ludzi papką multimedialną, trucią naturalnego środowiska, oraz specyfiki przeżyć budujących przeszłość Jakuba. Mówiąc prościej: Weiss zachorował psychicznie. Cały myk polegał jednak na tym, że przy swoim bardzo ciekawym stanie zachował ogromną część logicznego myślenia i pewnej, tak charakterystycznej dla ludzi obłąkanych, systematyki działania. W końcu zrytualizował swoje życie, sprowadzając je do utartych czynności i schematów.

[...]Kiedy widziałem go ostatnim razem, jego szal osiągnął apogeum. Rozstaliśmy się w dość nieprzyjaznych warunkach i nigdy się już nie spotkaliśmy. Był moim dobrym znajomym, jednak widziałem, że jakikolwiek ruch, pomoc z mej strony skazana była na porażkę i wzmogła by tylko pogarszanie się jego stanu. Jakub zawsze będzie moim dobrym przyjacielem. Dementuję plotki, jakoby [...]

Ks. Marek Ksawery Bardowicz - "Autobiografia"

Podwórko przegryzione na pół szczękami koparek o poranku, sterty gruzu zalegające koło chodnika. Schodzę po szesnastu stopniach, skręcam lewo. Ponad półtora metra płaskiej powierzchni, siedem stopni. Naciskam klamkę. Jest siódma szesnaście. Dwa schodki i kostka brukowa. Robotnik patrzy na mnie pustymi, młodymi oczami. Przeklinam moje natrętne szufladkowanie ludzi. Nie wiem o nim niczego, niczego. I tak ma zostać. On ma swoje życie, ja mam swoje, możemy je stracić, nic więcej nas nie łączy. Nic.

Piętnaście sekund w przeszłość: Patrzę na świeżą ziemię rozsypaną dookoła. Rozmyślam o tym, jak łatwo stworzyć coś pożytecznego, jak często trzeba porzucić stare nawyki aby zmienić świat na lepsze. Pięć sekund w przyszłość: Zapominam o tej myśli, ucieka jako jedna z wielu uwolnionych i rozesłanych w przestrzeń. Chodnik, którym niezmiennie od wielu lat chodzę został zdarty. Muszę iść dookoła. Czuję

przemóżny strach, coś jak zerwanie ze świętością i rytuałem. Nie jest to jednak strach krępujący, raczej dyskomfort oraz nieprzyjemne uczucie. Widzę, że niezależnie od tego jak silny rys zostawię na zepsutej skale tego miasta to i tak istnieje ktoś, kto może go wymazać. Jednym, nieprzemyślanym ruchem. Muszę zmieniać swoje nawyki. Nie lubię tego.

Skręć w prawo, drzewo sypie białymi kwiatami. Pokazuje mi w tym drobnym geście piękno świata. Przynajmniej tak mu się wydaje. A jestem ponad tymi blahymi symbolami. Mijam płatki zanim zdążą opaść na ziemię. Trzy godziny w przyszłość: Widzę jak te symbole czystości i niewinności deptane są przez brudne buty lokalnego moczymordy. Pięć sekund w przeszłość: Widzę jak spadają. Nie, nie są one znakiem piękna. Są symbolem upodlenia i przemijania prowadzącego do wyniszczenia. W pojedynku Ja vs. Świat otrzymujemy wynik 1:0. Sekunda w przyszłość: zapominam o czym myślałem przed chwilą. Idę dalej.

Mijam kolejne betonowe podwórka. Zastanawiam się jak można było stworzyć tak niedopracowany i chaotycznie brzydki twór. Ludzie uciekają w te klatki z asfaltu i plastiku. Chodnik jest praktycznie pusty. Przeraża mnie ta pustka, a jednocześnie właśnie jej pragnę. Nie chcę nikogo mijać, nie chcę aby DZIŚ mi przeszkadzano. Mimo to odczuwam satysfakcję, rozmyślając, że gdzieś wśród anten i wywietrzników może czekać cicha śmierć. Wiem, że dzięki temu miasto żyje.

Przechodzę tunelem. Odrapane ściany są pokryte zaciekami wieloletnich napisów. Ktoś nie wiedział jak nabazgrolić "homoseksualista", zastąpił to wyrazem "antyhetero". Mógł po prostu: pedał, każdy by zrozumiał. Lubię te napisy, są jak księga historii okolicy. Ja jednak nie zostawiam śladów na murach, zostawiam głęboką rysę w materii, dzięki której deformuję świat. To poniekąd dlatego służę sprawie i rozwiązaniu Zagadki.

Skręcam w prawo. Wchodzę po dwudziestu czterech schodkach. Stawiam stopę na co drugim stopniu, co daje mi dwanaście kroków do osiągnięcia szczytu konstrukcji. Zawsze robię tak duże kroki. Po pierwsze utrzymuję dobre tempo, po drugie nie wyglądam jak skrupowany kurczak drobiący małymi kroczkami w miejscu. Uspokajam serce i oddech. Rozglądam się uważnie. W okolicy kilku ludzi, nic podejrzanego. Pewna dziewczyna sięga do kieszeni, wyjmując paczkę papierosów. Nie! Jednak gumę do żucia. To bardzo, bardzo dobrze. Nienawidzę palaczy. Są jak naziści, o tyle jednak lepsi, że prócz zabijania innych trują jeszcze siebie. W tym momencie zgodnie z prawem Godwina powinienem zakończyć dyskusję. Jestem jednak poza jakimkolwiek prawem.

Tytoń jest akumulatorem ołowiu, ów ołów wdychany do płuc odkłada się i rozpada na różne radioaktywne paskudztwa. Chodzą między nami takie małe bomby atomowe, przekraczające w swych organizmach normy stężeniowe wielu substancji, żyją i udają, że mają się dobrze. W imię wolności, równości i możliwości wyboru. Lepsze jest ograniczenie swobody obywatela niż cierpienia społeczeństwa spowodowane jego głupotą. Może kiedyś politycy to zrozumieją.

Ona jednak wyciągnęła gumę do żucia. Lepsze to niż nic. Tramwaj przyjechał dosyć szybko. Wsiadłem do niego z przyzwyczajenia przepuszczając wszystkich w drzwiach. Taki odruch. Przechodzę powoli na tył tramwaju. Zawsze tak robię, wchodzę pierwszymi drzwiami, idę na tył. Zawsze. Opieram się o barierkę. Tak jak za dawnych, złych czasów spoglądam przez okno i myślę.

Powiedzieć, że ostatnio wszędzie widziałem teatrzyk i absurd, byłoby delikatnym niedomówieniem. Nękałem się pytaniami przed kim gramy, po co to wszystko. Teraz mam odpowiedź. Gramy przed innymi,

nieświadomi tego. Ja wyolbrzymiam, zmyślam, ubieram w słowa. Kogoś musi to bawić. Inny jest na siłę zimny, inny na siłę gorący. Wszyscy widzą ten teatrzyk. Jedni się z niego śmieją, inni go nienawidzą, inni pomijają jako nieistotny szczegół. Mało kto, jednak, widzi swoją rolę. Ja ją właśnie zobaczyłem. Bawię się nią, bawię się tym całym teatrzykiem, mam taką samą uciechę jak ten, kto pociąga za sznureczki. Jednak odgrywam swoją rolę, bez zbędnych pytań. Ten spektakl jest zbyt piękny, aby przerwać go pychą i szczeniackim buntem. Może to jakieś objawienie? Może ktoś wysłuchał mych pytań? Może ten głos nie uderzył w próżnię? Ważne, że dostałem odpowiedź. Otrzymałem szansę, na poukładanie tego wszystkiego, zebranie dotychczasowych informacji i wykreowanie jakiegoś poglądu. Za to dziękuję Ci, kimkolwiek jesteś i jakiegokolwiek masz zamiary.

Znów się zamyśliłem. Minąłem wiele przystanków nie rejestrując tego co działo się dookoła mnie. Tracę czujność, zły znak. Jakiejś kobiecie na przedzie wypadł telefon z ręki. Nikt go nie podniósł. Społeczeństwo głuchych i ślepych. Najgorszy rodzaj kalectwa. Podniosła go sama, schylając się z niemałym trudem.

Warto pomyśleć nad sensownym rozegraniem dzisiejszej rozmowy. Muszę wyciągnąć jak najwięcej informacji nie dając nic w zamian. Wątpię aby i on był zamieszany w Sprawę, jednak ostrożności nigdy za wiele. Nie mogę się zdecydować, nie potrafię wybrać jednej właściwej ścieżki. Oby szczęście mnie nie opuściło. No bo taki jestem. I nic tego nie zmieni. Moje starania, myśli, marzenia, mają tylko wagę jakową w MOJEJ własnej SAMODZIELNEJ pracy. Kiedy coś zależy od innego człowieka, mogę sobie prawdę i otwartość w kieszeń wsadzić i zdać się na ten los, co mnie i tak wcale nieźle kieruje. Nie mogę przecież narzekać.

Zaczynam rozumieć więcej. Moja zmienność, niezdecydowanie. To są najbardziej pożądane rzeczy w obecnej sytuacji. Dzięki temu zauważam moją rolę. Wprawdzie nie widzę oryginału, jednak mam ogromny przekrój wszystkich kopii. To co uważałem za przekleństwo, okazało się największym błogosławieństwem. Jak głupi i zaślepiony potrafi być człowiek. Patrzę na wszystkich dookoła. Żałuję, że nie mogę poczuć tego co ja czuję, odebrać tych samych myśli, choć przez sekundę poznać całą prawdę. Wiem, że to by ich zabiło. Nie znieśli by błogosławieństwa tak dzielnie jak ja.

Kolejne przystanki mijają w spokoju. Żadna myśl nie krępuje mojego umysłu. Widzę budynki oświetlane młodym słońcem. Piękny widok dla kogoś tak zakorzenionego w mieście jak ja. Każdy ma swoje miejsce. Przede mną stoi jakaś dziewczyna. Nie lubię jej. Po pierwsze stoi blisko, mimo że nie ma tłoku. Zbyt blisko. Nie mam nic przeciwko tłokowi, ale sztuczne ściskanie się na powierzchni, która tego nie wymaga jest najzwyklejszym w świecie marnotrawstwem. Głupi ludzie marnotrawią wiele rzeczy i tylko skomlą o więcej. Zapytałbym się, czemu ogranicza moją życiową przestrzeń, ale i tak odpowiedzi bym nie uzyskał. Nie ten poziom rozumowania, to po pierwsze, a po drugie (co jednocześnie jest powodem mojej złości), piłuje paznokcie. Wyciąga pilnik. Jeden pazur, drugi i tak po kolei. Później tym samym pilnikiem wycina skórki. To tak jakby wrywać zęby śrubokrętem. Z jednej strony zaradność jest wielką zaletą, z drugiej jest to utrudnianie sobie życia. Ten właśnie dualizm pilnika wytrąca mnie z równowagi najbardziej. Teraz zaczyna wygrzebywać brud spod paznokci. Tym samym pilnikiem. Doczekam czasów, w których ludzie będą się myć i golić w tramwaju. Cóż, do tego najwyraźniej zbliża nas postęp, do zatracenia się w pracy i zapomnienia o sobie. Ciekawe jak wyglądać będą ludzie za lat sto? Dziewczyna chowa pilnik, od niechcenia przesuwając się w inną stronę. Przez to muszę zabrać rękę z poręczy. Na szczęście ten pasożyt o nieznanych zamiarach wysiada na kolejnym przystanku. Odzyskuję wolność.

Tramwaj skręca, mijam Przekaznik. Nikt prócz mnie już nie nazywa tak tego obiektu. Odkąd zginął Dawid jestem sam ze starymi przyzwyczajeniami i określeniami. Patrząc na zachód wiem, że gdzieś tam jest ktoś

kto zna odpowiedź. Zmuszę go aby mi jej udzielił. W tramwaju następuje wymiana ludzi. Ktoś przeklina, przepycha się w drzwiach, wybucha konflikt na małą skalę. Obserwuję ich bezowocne spory. Bawię się tymi obrazami. Oni nie pojmują, Chociażby chcieli. Nie zdołają tego ogarnąć, ku mojej chwale. I niestety nadal będą mnie cieszyć małe przyjemności.

Tramwaj jedzie dalej, przejeżdża przez most. Lubię patrzeć na wodę płynącą w dole. Tyle wspomnień z nią związanych, tyle marzeń. Nie przejmuję się tym co ma zaraz nastąpić. Niczego i tak nie zmienię, jedynie odegram swoją rolę, wduszę "play" aby zapis ruszył. Scenariusz przecież został już dawno ustalony.

Tramwaj skręcał jeszcze wiele razy, kluczył, a ja byłem obojętny. Zachowywałem się jak kot wieziony w worku. Nie rejestrowałem niczego. W myślach rozważałem wiele spraw dawnych, sporo nowych. Problemy kumulują się przez lata a dziś chyba nadszedł dzień ich rozwiązania. Ocknąłem się dokładnie w momencie tego wymagających. Wysiadłem z tramwaju. Zawsze wychodzę powoli, najczęściej wyskakując nim tramwaj zatrzyma się do końca. Nie tracę pędu a przy okazji mogę się skupić na jednej, ważnej czynności. Lubię być skupiony.

Idę ulicami, klucząc i błędząc specjalnie. Dzięki temu gubię ewentualny pościg, sprawiam, że ludzie odsuwają się ode mnie posądzając mnie o obłąkanie a przy okazji odwiedzam stare kąty. No przynajmniej te, które przetrwały do dnia dzisiejszego. Jednak wszystkie te twory labiryntowe w końcu doprowadzą mnie do punktu B. Przecież mam konkretny cel, jemu się oddałem i dziś tylko on ma dla mnie znaczenie. Rozmowa musi być przeprowadzona, tak zostało powiedziane.

Kościół pojawia się przede mną znienacka. Nie jest to fatamorgana. Wyrasta w jednej chwili. Przeraza mnie irracjonalnym strachem. Wchodzę do niego, podziwiam piękne rzeźby, malowidła. Obserwuję pomnik ludzkiego błagania o lepsze dni. Skręcam w prawo, omijając środek zalany słońcem przelewającym się przez kolorowe szkiełka witraży. Kieruję się w morki naw bocznych, odruchowo licząc ławki. Kościół jest całkiem spory, mimo to znajduje się w nim kilka osób. Znajduję się coraz bliżej konfesjonu, wiem, że zaraz nadejdzie moment kulminacyjny. Modlę się, jedyną modlitwą, którą potrafią wymówić moje wargi:

Ty, która ponad ludzką ciźbę wbijas się anielskie ubrawszy skóry. Jesteś tak piękna, cudowna, o chwało Stwórcy! Myślą wszystko prześcigasz, budujesz rzeczy niesłychane. Jesteś niepowtarzalna, potrafisz słuchać. Wiedz, że jesteś jedyna na tym świecie, ukochana, cudowna. Wiedz, że Cię nienawidzę. Gardzę tobą, bo ja jestem ponad ciźbę, ponad niebieskie składy, bo ja przejrzałem was wszystkich i wiem kto pociąga za sznurki, bo ja wiem jak grać szczęśliwie, jak zmieniać maski, bo ja dostrzegłem sens i piękno tej gry. Tworzę absurd, trwożę nim ludzi, żywię się nim. Codziennie przynoszone jest mi coś nowego, coś świeżego, klujące, bolesne wieści, które utwierdzają mnie coraz mocniej w moich przekonaniach. Mało jeszcze rozumiem, niewiele pojmę w najbliższym czasie. Wiedz, że kiedy osiągnę stan oświecenia, stworzę świat lepszy niż ty, o ludzka naiwności. To właśnie ślubuję uczynić. Do tego dążyć będę, aż po kres dni moich. To właśnie się spełni.

Mętlik. Jeszcze gorszy niż wtedy, jeszcze paskudniejszy niż następnym razem. Okropny, bo cholernie racjonalny, klarowny. A mimo to nie wiadomo dokładnie co z nim począć. Bo z jednej strony trzeba się nieco uspokoić, zaufać szczęściu, a z drugiej wracać do dawno zapomnianego buntu. Zabawne uczucie. Z tego mętliku powinno się coś narodzić, wiem co, ale to nie jest łatwe. Za wiele musiałbym złamać w sobie, zbyt wiele podjąć trudu. Jednak jest to przyjemny trud, owocny zapewne. Ta rozmowa będzie

kontrolowana. Podchodzę do konfesjonału, klękam, wykonuję znak krzyża.

- Ósmy maja...

- Synu?

-Ósmy maja, roku dwa tysiące dziewiątego. Nie mów, że nie wiesz o czym mówię... Ojciec - dorzucił z niemałym trudem i jakoś dziwnie bez szacunku.

-Co leży w cieniu posągu?

-Dość! Nie przyszedłem się tutaj bawić. Może jeszcze: co powiedział jeden bałwanek do drugiego?

Ksiądz otworzył konfesjonał. Milcząc wskazał Weissowi aby szedł za nim. Wyszli jednymi z bocznych drzwi na ulicę, kierowali się do prywatnego mieszkania księdza. Całą drogę milczeli i zachowywali dystans. Dopiero kiedy zatrzasnęły się za nimi ciężkie, pancerne drzwi gromadzone skrupulatnie emocje eksplodowały. Nie był to jednak wybuch niekontrolowany, a jedynie delikatny wyciek jadowitego, radioaktywnego płynu, mający na celu sparaliżowanie, lecz nie zabicie oponenta.

- Miło cię widzieć, drogi Janku - Rzucił ksiądz z pozoru niedbale, przybierając najbardziej obojętny ton na jaki było go stać. - Napijesz się czegoś? Co u ciebie słychać? - Dorzucił dokładnie szroniąc każde słowo.

- Jakubie, jeżeli już coś. - Weiss rzucił na stół plik papierów - Dawid nie żyje.

- Niech mu ziemia... - Ksiądz załamał ręce, nie wiadomo czy w rzeczywistym, czy w udawanym żalu.

-Zamordowany, bestialsko, tak jak dziesiątki ludzi przed nim. Stoi za tym zorganizowana banda. Na biurku masz dowody. Rachunki, nazwiska, adresy, szczegółowe opracowania. To prawdopodobnie jakaś fanatyczna sekciarska grupa religijna z cholernie charyzmatycznym przywódcą zdolnym do wszystkiego...

- Obawiam się, że nie zarejestrowaliśmy ostatnio żadnych niebezpiecznych ruchów...

- Słuchaj, drogi Marku, Posłańcu Boży z nomen omen Bożej łaski! - Weiss wziął pierwszą kartkę z pliku. Zaczął czytać. Jego głos był zdenerwowany, pełen zawiści. Kolejne fakty wystrzeliwał z prędkością pocisków wyrzucanych z karabinu maszynowego. - Zuzanna Frigg, związana z ruchami religijnymi, pilna i gorliwa katoliczka, widziana w tymże kościele dwa tygodnie temu. Jakoś molarność nie przeszkadzała jej w zabijaniu niewinnych, torturowaniu i urządzaniu makabrycznych spektakli! Tak samo Antoni Alfred, Adam Kruk... - Mikołaj chwycił plik kartek i rozrzucił go jednym ruchem ręki po pokoju. Arkusze zaczęły spadać na ziemię, lądowały na miękkim dywanie. - Tu, pod twoimi stopami leży wszystko. Dowody! Wystarczy się schylić i spojrzeć.

- Dowody?! Ja nie znam tych ludzi! O czym ty mówisz, szaleńcze? Jakie spiski, jakie organizacje? Przez te wszystkie lata chyba straciłeś resztki zdrowego rozsądku...

- O nie, Ojciec, przejrzałem na oczy. - Jakub cedził przez zęby kolejne słowa. Emocje burzyły się w nim jak lawa w trzewiach wulkanu. - Wszyscy ci ludzie, których rzekomo nie znasz, podejrzewani są o nieliczne zbrodnie. Wielu z nich przewinęło się przez ten kościół. A ty, który sam stawiałeś fundamenty, który jesteś tu od zawsze ich nie znasz? Kogo kryjesz?!

- Nikogo nie kryję, głupcze! Tobie potrzebny jest egzorcysta! Natychmiast opuść moje mieszkanie!

- O nie, Ojciec. Nie! Tyle lat omijałem to miejsce, nie mogłem dojść do siebie po tym co zrobiłeś. Leczyłem odrazę, którą chowałem w sobie. Dziś żądam informacji! Kto jest odpowiedzialny za to wszystko? Mów co wiesz! - Weiss wykrzyczał ostatnie słowa dając upust swojej frustracji. Wiedział, że właśnie tak ma to spotkanie wyglądać. Do tej pory wszystko szło po jego myśli.

- Wyjdź!

Weiss zaśmiał się szyderczo, uklonił nisko i skierował do drzwi. Zatrzymał się w połowie drogi, stając obok regału z książkami. Poglądził jedną z okładek, uśmiechając się krzywo. Zrobił jeszcze dwa taneczne kroki, obrócił się w progu, zasalutował i sfrunął po schodach w dół. Chwilę potem słyszeć można było jego wesoły śpiew tonący w gwarze ulicy. W rogu pokoju czerwona lampka kamery migiała leniwie. Mikrofon ukryty w książkach nadal rejestrował dźwięki. Ksiądz rzucił okiem na pierwszą z rozrzuconych kartek. Zapelniona losowym tekstem! Odetchnął z ulgą. W jego apartamencie rozległ się dźwięk telefonu.

Czekałem i obserwowałem go od długiego czasu. To było istne piekło, powstrzymywanie się i odpieranie ataków żądz. Dziś wykonałem pierwszy krok, wypadł nad wyraz pomyślnie. Zasiałem panikę. Przez długi czas przygotowywałem się, zbyt długi, ale musiałem zyskać pewność. Niezachwiane i nieodparte wrażenie, że wszystko zadziała i teraz, kiedy plan zostaje pomalutku wprowadzany w fazę rozruchu wiem, że było warto. Wszystko zapięte jest na ostatni guzik, zadanie wykonać można schludnie i czysto, bez nadmiernego ryzyka i z szacunkiem. Od teraz ja wraz z księdzem jesteśmy spleceni jedną nitką wspólnego losu i nie sądzę aby był z tego faktu zadowolony. Ja nie mogę powstrzymać radości.

Wcale nie jest dziwne to, że wystawiłem się na ostrzał. Tego wymagał plan i jedynie taki zabieg mógł upewnić mnie co do słuszności czynu. Właściwie słuszność czynu była dla mnie oczywista, co innego słuszność i możliwość wykonania. Teraz wiem, że mój pomysł jest idealny, nie ma żadnych luk. Mimo to sprawdzam go po raz kolejny, kropka po kropce, sprawdzam i czekam. Coraz słabiej utrzymuję w ryzach rwącego się do czynu ducha, który jest jak wzburzone morze. Wszystkie falochrony trzeszczą i rozsypują się. Ja jednak czekam na odpływ, na odpowiednie ustawienie ukochanego, tłusciutkiego księżycy. Wtedy będę gotów. Wiem, że nie przydarzy się to tej nocy, ani następnej. Może minie tydzień, może kilka dni. Tego nie wiem, lecz wiem, że o ile to się wydarzy, to będzie dopiero początek. Później wydarzy się po raz kolejny, i jeszcze raz aż do wyczerpania się składników. Nie przepalony jeszcze glob sumieniem!

Przydarzy się księdzu...

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Rodion, dodano 26.08.2009 09:36

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.